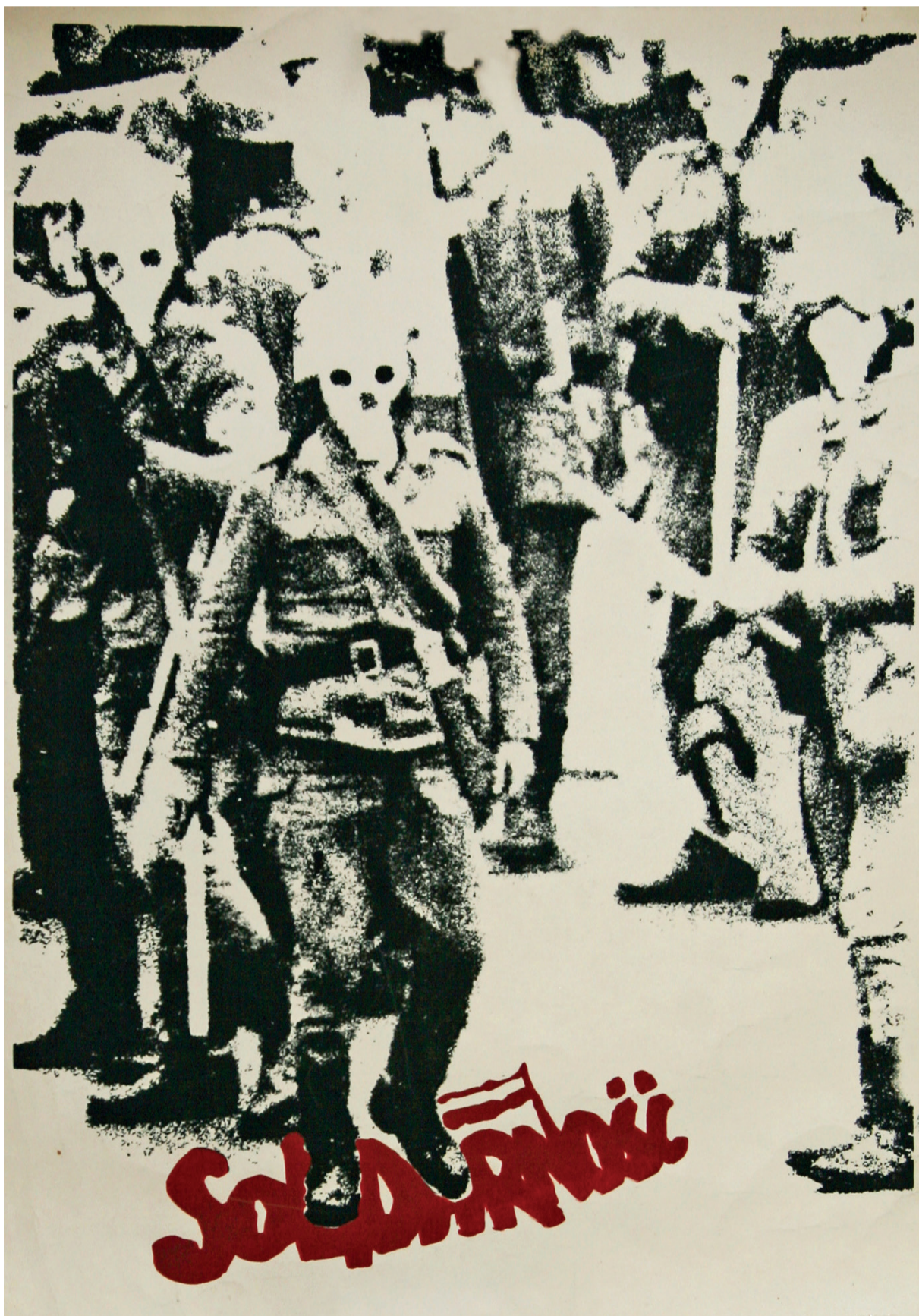


GRUDZIEŃ 1970 REWOLTA GRUDNIOWA 1981 STAN WOJENNY

GDAŃSK PAMIĘTA

COROCZNA GAZETA ROCZNICOWA 4/2023 | WYDAWCA: EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI



OFIARY BEZ IMION

Bezimienny chłopak, z piersi którego chirurg wyjął kulę – bezimienny, jak robotnik z przejmującego obrazu prezentowanego na wystawie STOCZNIA, po którym został tylko przestrelony kask – to symbole tragedii, która rozegrała się w grudniu 1970 roku na ulicach Gdańska, Gdyni, Elbląga i Szczecina. Życie straciły 43 osoby, 1165 zostało rannych. Te śmierci, nocne pochówki, zacieranie śladów i brak kar dla winnych, to jedna z najwstydlivszych kart współczesnej historii Polski.

W grudniu 1981 roku, gdy pod osłoną nocy junta wojskowa wprowadziła stan wojenny, znów zginęli ludzie, a delegalizacja Solidarności cofnęła zegar demokratycznych zmian. Życie straciło ok. 100 osób. Bez wyroku niemal 10 tysięcy kobiet i mężczyzn, których państwo uznało za zagrożenie dla trwałości ustroju komunistycznego, zostało pozbawionych wolności. W tym roku przypada 40 rocznica zakończenia stanu wojennego.

Grudzień to nie tylko czas upamiętnienia polskich tragedii, pamięci niewinnych ofiar przemocy komunistów, ale też symboliczny miesiąc obrony prawa człowieka. 10 grudnia przypada Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka. Ustanowiono go na wspomnienie uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, która była odpowiedzią humanistów na katastrofę dwóch wojen światowych, na zagładę Żydów, na zbrodnie systemów totalitarnych oraz wszelkich imperiów i dyktatur. Autorzy deklaracji byli przekonani, że tylko państwa szanujące prawa człowieka zapewniają pokój.

W tym roku przypada 75-lecie uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, a prawa człowieka wciąż są łamane. W Ukrainie, Syrii, Strefie Gazy...

Niech dziś łączy nas pamięć o ofiarach dwóch tragicznych polskich grudniów oraz szacunek dla tych, którzy na całym świecie walczyli o prawa człowieka i nadal ich bronią, choć wielu płaci wielką cenę i pozostaje bezimiennych!

(at)

GDAŃSK PAMIĘTA
/ program wydarzeń jubileuszowych:
10-16/12/2023
/ szczegóły: ecs.gda.pl i gdansk.pl

Motyw graficzny użyty na plakacie to przetworzona autentyczna fotografia, ukazująca oddział ZOMO (Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej) w trakcie stanu wojennego w Polsce, 1982 / Zbiory ECS

JANEK PADŁ



Protestujący niosą na drzewach ciało zabitego Zbyszka Godlewskiego, który przeszedł do historii jako Janek Wiśniewski, 17 grudnia 1970
Fot. Edmund Pepliński / Zbiory ECS

Janek Wiśniewski to jeden z symboli Grudnia '70. Zginął od serii z karabinu maszynowego na wiadukcie kolejowym Gdynia Stocznia. Miał zaledwie osiemnaście lat i naprawdę nazywał się Zbyszek Godlewski.



W sierpniu 1970 roku osiągnął pełnoletniość. Po ukończeniu szkoły zawodowej podjął pracę w Stoczni Gdynińskiej im. Komuny Paryskiej. Gdy doszło do strajków w Grudniu '70, był pracownikiem zakładu od zaledwie kilku miesięcy.

Naprzeciw glinom

Najpierw zastrajkował Gdańsk, dopiero później Gdynia. Gdańskie protesty miały niezwykle burzliwy przebieg – brutalność funkcjonariuszy milicji i ZOMO spowodowała eskalację nastrojów. To właśnie tu po raz pierwszy użyto ostrej amunicji przeciwko demonstrantom i właśnie tu padli pierwsi zabici. Zapłonął zniechęcony Komitet Wojewódzki (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), który pogardliwie określano mianem Reichstagu. W Gdyni było inaczej. Tam strajki miały spokojny przebieg. I gdy telewizja oraz radio wieczorem 16 grudnia nadały apel wicepremiera Stanisława Kociołka nawołujący do powrotu do pracy – zmęczeni robotnicy posłuchali. Rankiem 17 grudnia Zbyszek Godlewski wraz z innymi robotnikami szedł do pracy. Przyjechał kolejką z Elbląga, w którym mieszkał z rodzicami. Stocznia była jednak zablokowana przez milicję i wojsko. Tłum gęstniał z każdą chwilą na stacji i wiadukcie kolejowym. Ze szczekaczków dochodziły wezwania do rozejścia się, jednak nie każdy był w stanie je dosłyszeć.

Ponieśli go Świętojańską

Padły pierwsze salwy z karabinów maszynowych. Wbrew temu, co przedstawiała propaganda, nie strzelano w ziemię, lecz na wprost, w ciałach rannych i zabitych nie było kul po rykoszetach. Pociski wystrzelone z karabinu maszynowego trafiły Zbyszka w głowę oraz w brzuch i klatkę piersiową. Ciało zabitego chłopca zabrano z wiaduktu. Ktoś wyrwał drzwi z toalety jednego z okolicznych baraków, na których złożono zwłoki, inni dostali od kapłana z pobliskiego kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa krzyżki i kwiaty, które umieszczono na ciele Zbyszka. Ktoś krzyknął: „Zanieśmy go pod Dom Partii!”. Robotnicy sformowali pochód, podczas którego ulicami Gdyni maszerowali z zabitym niesionym na drzwiach, niczym na katafalku. Dramatyczne sceny uwiecznione zostały na słynnych fotografiach i w „Balladzie o Janku Wiśniewskim”, do której słowa napisał prawdopodobnie Krzysztof Dowgiałło, a muzykę skomponował Mieczysław Cholewa (choć nie można wykluczyć wersji o anonimowym autorstwie utworu).

Chłopcy stocznioicy

Na drzwiach ponieśli go Świętojańską / Naprzeciw glinom, naprzeciw tankom / Chłopcy stocznioicy – pomścijcie druha! / Janek Wiśniewski pad!

Utwór ten powstał najprawdopodobniej w 1971 roku – wówczas jeszcze nie znano tożsamości młodego stocznioicy. Tytułowy „Janek Wiśniewski” uosabia więc każdą z ofiar Grudnia '70.

Rodzice Zbyszka dowiedzieli się o śmierci syna z krótkiego, ale przerażającego w swej wymowie telegramu: „Zbyszek nie żyje – Polowski Kazimierz”. Nazajutrz, 19 grudnia, rodzice rozpoczęli poszukiwania w szpitalach i urzędach. Była jednak sobota – usłyszeli, by przyjść w poniedziałek. Nieoczekiwanie w niedzielę wieczorem do drzwi Godlewskich w elbląskim mieszkaniu zapukali urzędnicy, którzy przedstawili się jako pracownicy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku i poinformowali, że niedługo na cmentarzu Oliwskim w Gdańsku odbędzie się pochówek ich syna.

Władze komunistyczne nie chciały, aby pogrzeby pomordowanych przerodziły się w manifestacje. Obrządki organizowano w pośpiechu, w nocy, i jedynie w obecności najbliższych, a niekiedy nawet i bez ich udziału. Nie zawsze był kapłan. Pochówek Zbyszka odbył się przy udziale kapelana wojskowego, w świetle lampy naftowej. W marcu 1971 roku władze zgodziły się na ekshumację zwłok i przeniesienie ich, wedle woli rodziców, na cmentarz Komunalny w Elblągu.

Nie na darmo

Negatywy słynnej fotografii przedstawiającej pochód z ciałem Zbyszka Godlewskiego przez niemal dziesięć lat przechowywał w tajemnicy Edmund Pepliński, fotograf, który wykonał je z ukrycia, z okna swojego mieszkania przy ul. Świętojańskiej w Gdyni. Dopiero w 1980 roku zdecydował się na ich przekazanie działaczom Solidarności. Zorganizowano wystawę w siedzibie związku w Gdańsku-Wrzeszczu. Rodzice Zbyszka nie mieli wątpliwości – na fotografii uwieczniono ich syna, niesionego na drzwiach przez sześciu robotników.

„Ballada o Janku Wiśniewskim” była wielokrotnie wykonywana, m.in. w filmie „Człowiek z żelaza” Andrzeja Wajdy (1981) zaśpiewała ją Krystyna Janda (choć z nieznacznie zmodyfikowanymi słowami). Kazik Staszewski wykonał odświeżoną, ostrzejszą wersję utworu, skierowaną do młodszego pokolenia. Została ona nagrana na potrzeby przejmującego filmu „Czarny czwartek” Antoniego Krauzego (2011).

Zbyszek Godlewski był pośmiertnie, już w wolnej Polsce, kilkakrotnie honorowany państwowymi odznaczeniami. W Elblągu, gdzie mieszkał i w Zielonej Górze, gdzie się urodził, znajdują się obecnie ulice jego imienia. W Gdyni również jest ulica Janka Wiśniewskiego, jeszcze w 1990 roku mityczne imię zamordowanego przez władzę chłopaka zastąpiło Juliana Marchlewskiego, rewolucjonistę i działacza komunistycznego. *Nie płaczcie matki – to nie na darmo / Nad stoczniańszczyzną sztandar z czarną kokardą / Za chleb i wolność i nową Polskę / Janek Wiśniewski pad!*

dr Jakub Kufel

/ historyk, specjalista z zakresu nauk społecznych i politycznych,
kierownik Działu Naukowego i Biblioteki



KULA BEZ IMIENIA

„Wyjąłem z prawej jamy opłucnej kulę z pistoletu maszynowego [...]” – we wspomnieniach zapisał prof. Jerzy Dybicki. „Młody człowiek, cywil” był operowany 15 grudnia 1970 roku w Akademii Medycznej w Gdańsku. Nazwisko postrzelonego mężczyzny do dziś nie jest znane, kula zaś znajduje się w zbiorach archiwalnych Europejskiego Centrum Solidarności.

Kula wyjęta przez prof. Jerzego Dybickiego z ciała mężczyzny rannego w Grudniu '70
Fot. Katolina Lejczak-Pastuszka / Zbiory ECS / Dar Jacka Bitela

Pierwszy sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, informując Polaków w przemówieniu radiowo-telewizyjnym o wprowadzanych podwyżkach cen żywności, zapewne nie spodziewał się tak gwałtownego oporu społecznego. Już dwa dni później, 14 grudnia 1970 roku, wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, rozpoczynając falę protestów na całym Wybrzeżu. Sprzeciw przybrał charakter powstania robotniczego.

Niesamowite szczęście

„Młody człowiek, cywil” miał wielkie szczęście w nieszczęściu, bo operował go prof. Jerzy Dybicki, wybitny specjalista z zakresu chirurgii ogólnej, chirurgii klatki piersiowej i chirurgii naczyniowej, wieloletni kierownik I Katedry i Kliniki Chirurgii Ogólnej Akademii Medycznej w Gdańsku. W swoich wspomnieniach napisał zdawkowo o przebiegu operacji. Ranny „miał niesamowite szczęście, że dziwnym trafem kula, lecąca prawdopodobnie z małym już impetem, przebiła tylko ścianę klatki piersiowej, nie naruszając ani żeber, ani płuc. Znalazłem ją leżącą grzecznie w zaułku przepony”. Do postrzelenia mogło dojść na wiadukcie między stoczną a placem Zebrań Ludowych, może przed Komitetem Wojewódzkim PZPR w Gdańsku.

W dobie mediów elektronicznych trudno w to uwierzyć, ale w 1970 roku lekarze dyżurujący w Akademii Medycznej, oddalonej o 2,5 kilometra od centrum miasta, mieli jedynie zdawkowe informacje o tym, co się dzieje na ulicach. Od przywożonych przez karetki rannych pacjentów niewiele można było się dowiedzieć.

Cywilie leżą pod murami stoczni

Kulę z piersi postrzelonego mężczyzny prof. Dybicki wyjął 15 grudnia. Liczba pacjentów z obrażeniami poniesionymi w walce rosta.

„[...] zaczęto nam przywozić pod cztery kolumny Izby Przyjęć wyłącznie poturbowanych milicjantów, ktoś z ekipy lekarskiej dyżurującej ze mną od trzech dni non-stop dostał telefon, że ranni cywile leżą pod murami stoczni. Podjęliśmy decyzję wysłania do centrum miasta dużych rozmiarów karetki szpitalnej, abyśmy mogli sami sprawdzić, czy nie ma gdzieś »leżących pod murem« stoczniowców” – relacjonował prof. Jerzy Dybicki w trzynomowej książce „Chirurgia, moja miłość. Wspomnienia gdańskiego profesora”.

Odnótował też, że dochodziły do nich wieści, że karetka z rannymi cywilami jadąca do szpitala PSK 1 były blokowane przez milicję. Szpital PSK 1 to Państwowy Szpital Kliniczny 1, jeden z obiektów Akademii Medycznej.

Tymczasem do prof. Dybickiego zadzwoniła żona, okulistka pracująca w Szpitalu Wojewódzkim przy ul. Świerczewskiego, dzisiaj Nowe Ogrody. Relacjonowała, że „tuż przed jej oknami, rozgrywały się dantejskie sceny kamienowania milicjanta i brutalnego traktowania demonstrujących mieszkańców Gdańska” – napisał we wspomnieniach.

Salwy karabinu

Ambulans był już gotowy do drogi. Miejsca zajęto czworo lekarzy i pielęgniarka.

„Z wielkim uniesieniem i wysokim poziomem adrenaliny we krwi wyruszyliśmy pod moim kierownictwem w stronę Stoczni Gdańskiej. Zasiadłem naturalnie przy kie-

rowcy. Gdy spojrzałem na członków drużyny siedzącej za mną, których chęć pomocy rannym była większa niż naturalne uczucie strachu przed przypadkowym postrzałem, zobaczyłem Janeczkę Tatariewicz, anestezjologa, bohaterską sanitariuszkę Powstania Warszawskiego [w rzeczywistości była łączniczką – przyp. red.], Jurka Pryczkowskiego, chirurga naczyniowego z dawnej II Kliniki Chirurgicznej AMG, i Mirkę Narkiewicz, współpracującą od niedawna z profesorem Sokotem w II Klinice Chirurgicznej profesora K. Dębickiego. Była w karetce pielęgniarka na pewno też z tej kliniki, jej imienia moja pamięć nie może jednak przywołać”.

O kłopotach z dotarciem do stoczni profesor we wspomnieniach nie napisał. Pod murem stoczni medycy nie znaleźli rannych. Postanowili, że pojedą w kierunku centrum, skąd dobiegały ich pojedyncze salwy karabinów maszynowych.

Przebierańcy

Z wielkim trudem kierowca karetki pokonał trasę ze stoczni ulicą 3 Maja, pokrytą gruzem i odłamkami szkła. Skręcił na skrzyżowaniu w lewo, żeby stanąć przy wjeździe na most nad torami kolejowymi, przed blokadą milicji. Z oddali widzieli płonący gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

„Nie uzyskaliśmy zgody milicjantów na przejazd do oczekujących pomocy rannych. Kazałem wtedy kierowcy, aby po znalezieniu w ich szeregach większej luki, nabierając prędkości i trąbiąc, przejechał, nie zważając na okrzyki rozbiegających się na obie strony milicjantów. Kierowca nikogo z nich nie przejechał ani nawet nie potrafił” – relacjonuje prof. Dybicki. Chwilę później karetka była już przed płonącym gmachem.

„Otaczał nas tłum ubranych w kombinezony robocze i białe kaski stoczniowców”. Medycy byli zdumieni, że nastawienie tłumy jest wrogie, padają wyzwiska pod ich adresem i oskarżenia o sprzyjanie milicjantom.

– Demonstranci myśleli, że to zomowcy przebrani w białe fartuchy i że będą do nich strzelać – nie miała wątpliwości prof. Janina Suchorzewska, we wspomnieniach prof. Dybickiego opisana panieńskim nazwiskiem „Tatariewicz”.

On mówi prawdę

W pewnym momencie ambulans zaczął się kolebać z koła na koło. Istniało realne zagrożenie, że zostanie przewrócony. Profesor Dybicki otworzył drzwi i stanął na stopniach szoferki. Bał się? We wspomnieniach napisał, że „zareagował błyskawicznie”. Miał za sobą Powstanie Warszawskie i partyzantkę, nieraz zapewne widział śmierć.

„Machając do stoczniowców w geście przyjaźni, starając się przekrzyknąć dobiegające mnie zewsząd głosy nienawiści, wygłosiłem płomienne przemówienie. Wołałem: »Jesteśmy z wami i oświadczam wam, że przyjechaliśmy tu z Akademii Medycznej, aby wam pomóc i zabrać do szpitala waszych rannych towarzyszy«. Niewiele to jednak pomogło. [...] rozległ się krzyk wysokiego robotnika w kasku: »Słuchajcie! Ja go znam, to docent Dybicki, który operował i wyleczył moją mamę. On mówi prawdę!«. Zaraz po tych słowach ambulans przestał się trząść. „Bogu dzięki! Odetchnąłem”. Tłum się rozstał, zapewniając, że nie ma wśród nich żadnego rannego, a pojazd powolutku ruszył w drogę powrotną do Wrzeszcza. „W karetce panowała śmiertelna cisza”. Dojechawszy na miejsce, zastali przed szpitalem wielu rannych przywożonych z innych rejonów miasta.

Stocznia kontra ustrój

Niedługo później prof. Dybicki, zmierzając do pacjenta, któremu dzień wcześniej wyjął kulę z piersi, zasłyszal na korytarzu strzępy rozmowy, którą Zenon Kliszko toczył z dwoma innymi osobami. Zenon Kliszko przyjechał z Warszawy, był wicemarszałkiem Sejmu o długiej przeszłości partyjnej, uchodził za najbliższego współpracownika Władysława Gomułki I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. Wiemy, że był jedną z osób współodpowiedzialnych za masakrę na robotnikach.

Jeden z rozmówców „radził temu partyjnemu dygnitarzowi z Warszawy zburzenie pociskami armatnimi całej stoczni. Lepiej byłoby, według niego, żeby zginęło 2-3 tysiące stoczniowców, niż miałby upaść ustrój. Gdy usłyszałem słowa sprzeciwu Kliszki, uspokojony wbiegłem na drugie piętro” – zapisał profesor Dybicki.

W kilka godzin w Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej przy ulicy Dębinki przyjęto 364 chorych. Profesor Janina Suchorzewska przez osiem dni nie opuściła szpitala.

Mały srebrny pucharek

„Kilka dni później udałem się »pod laryngologię« z małym srebrnym pucharkiem, znalezionym kiedyś w ogrodzie, do pana Jackiewicza, mechanika precyzyjnego z prośbą o dorobienie do niego niewielkiej kolumnki opartej na podstawie z płytki marmurowej. Ten mały pomniczek ze znajdującą się w nim kulą miał za zadanie uczcić wielki zryw stoczniowców gdańskich przeciw rządzącym Polską władzom. Stoi w oszklonej gablocie w moim pokoju od czterdziestu już lat i pomaga mi wracać myślami do tamtych pamiętnych chwil mego życia”.

Po śmierci prof. Jerzego Dybickiego kula wraz z oryginalnym kielichem trafiła do zbiorów archiwum ECS.

Profesor Jerzy Dybicki już nie żyje. Odeszła również prof. Janina Suchorzewska. Czarny charakter tej historii, Zenon Kliszko, zmarł trzy miesiące po wyborach 4 czerwca 1989. Nigdy nie stanął przed sądem.

Katarzyna Żelazek

/ dziennikarka i redaktorka, autorka książek, animatorka projektów kulturalnych i społecznych, współpracuje z ECS

WYKORZYSTANA LITERATURA

/ Jerzy Dybicki, „Chirurgia moja miłość.

Wspomnienia gdańskiego profesora”, Gdańsk 2012

/ Jerzy Dybicki, „Droga do Akademii i do samodzielności.

Wspomnienia gdańskiego chirurga”, Gdańsk 2005

GALERIA JEDNEGO OBIEKTU

W ogrodzie zimowym ECS prezentujemy inne materialne pamiątki dwóch polskich Grudniów, zapraszamy do obejrzenia ekspozycji, wstęp wolny

JEDEN DZIEŃ W ŻYCIU

Nie zmyliła cenzury formuła obrazu nawiązująca do komiksu albo gazetki ściennej, pozornie opowiadającego o wypadku podczas budowy statku. „Jeden dzień w życiu stoczniowca” Leszka Sobockiego został zdjęty z wystawy Salonu Marcowego w Zakopanem w 1972 roku, gdzie był publicznie prezentowany pierwszy raz. A sam artysta zapłacił wysoką cenę za propagowanie prawdy.

Władza oficjalnie nie przyznawała się do strzelenia w Grudniu '70 do protestujących robotników. Jednym z nielicznych artystów, którzy mieli odwagę powiedzieć, kto był dobrym, a kto złym bohaterem tej historii był Leszek Sobocki (ur. 1934) – malarz, grafik, twórca realizacji przestrzennych, eseista i poeta, jeden z najbardziej oryginalnych twórców polskiego powojennego malarstwa.

Czerwony chleb w koszyku

Już sam tytuł pracy „Jeden dzień w życiu stoczniowca” nasuwa kąśliwą uwagę, że śmiertelne wypadki w pracy robotnika to nic nadzwyczajnego, zwykła codzienność.

Obraz nasycony jest licznymi odwołaniami do życia robotnika. Artysta podkreśla wysiłek ekonomiczny oraz dokonywane przez władze manipulacje. Sugeruje to m.in. poprzez przesłonięte oczy stoczniowca uwiecznionego na banknocie czy czerwony chleb w metalowym koszyku, który może być strawą kupioną za ciężką pracę, ale i symbolem ideologicznego pokarmu podawanego obywatelom przez władzę w zakłamanych mediach publicznych. Ostatni kadr nie pozostawia wątpliwości, robotniczy kask nie był wystarczająco twardy, aby stawić opór kuli.

Po interwencji cenzury podczas wystawy w Zakopanem, Sobocki w geście protestu postanowił wycofać swoje prace z ekspozycji.

Akt odwagi

Po latach Leszek Sobocki wspominał: „[...] pochłonięty mnie treści egzystencjonalne, społeczno-polityczne, sprawy człowieka w niesprzyjających warunkach były najważniejsze. Nie przestrzegałem piękna, formy, wszystko było

podporządkowane dopominaniu się o godną egzystencję, o prawdę. Trudno było wyartykułować sprawę niepodległości, najważniejsze, że wskazałem sprawcę tych wszystkich nieszczęść, licząc na domyślność oglądających moje prace. Tym sposobem straciłem szanse wykreowania swojej twórczości na salon”.

Niewielu było artystów, którzy odważyli się na tak krytyczny, bezpośredni komentarz. Co więcej Sobocki wykonał tę pracę tuż po tragicznych demonstracjach. Ekspozowanie publicznie „Jednego dnia w życiu stoczniowca” należy uznać za akt dużej odwagi. Sobocki zapłacił za nią wykluczeniem przez władzę z grona artystów lubianych i popularyzowanych w PRL.

Pionier

W późniejszych latach pojawiły się artystyczne odniesienia do tematu Grudnia '70, realizowane przez innych twórców. Jednak to Sobocki był jednym z pierwszych. Ponadto, jego praca na tle innych wyróżniała się bezpośredniością zapisu. Czytelnie i dosadnie demaskowała dwulicowość władzy.

Obraz „Jeden dzień w życiu stoczniowca” w 2010 roku został zakupiony do zbiorów Europejskiego Centrum Solidarności. Obecnie eksponowany jest w gmachu ECS na wystawie STOCZNIA | CZŁOWIEK. PRZEMYSŁ. MIASTO.

Karolina Lejczak-Pastuszka

/ kierowniczka Działu Zbiorów, na co dzień opiekuje się w ECS kolekcją zbiorów artystycznych i pamiątkami historycznymi, współtwórczyni wystawy stałej ECS i wystawy STOCZNIA



„Jeden dzień w życiu stoczniowca”, olej na płycie pilśniowej, 1971 / Fot. Karolina Lejczak-Pastuszka / Zbiory ECS

Ten tekst ukazał się w 50 numerze „Głosu Stoczniewca” z 1981 roku, jedenaście lat po rewolcie grudniowej. Ciekawy jest nie tylko zapis wspomnień, ale również sam fakt ich opublikowania. Zachowaliśmy oryginalny zapis.

ELEKTRYK

Autor publikowanych wspomnień, w których opisuje grudniowe wydarzenia 1970 r. w Gdańsku, pracuje w zakładzie transportu w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Zamieszczamy wybrany fragment nadesłanych wspomnień. Autor prosił o niepodawanie jego nazwiska.



Rewolta grudniowa, płonie siedziba Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ul. Wały Jagiellońskie w Gdańsku, 15 grudnia 1970
Fot. Edmund Chabowski / Zbiory ECS

[...] cofnę się do roku 1970, do 14 grudnia. W moim oddziale nic nie wskazywało, że coś się będzie dziać. Praca przebiegała normalnie, wszyscy kierowcy wózków wyjechali na teren Stoczni Gdańskiej. Nagle, już nie pamiętam która mogła to być godzina, przyjeżdża jeden z kierowców wystraszony i mówi: „Panowie, coś się na stoczni dzieje, pełno ludzi idzie w naszym kierunku”.

[...] Wychodzimy przed zajezdnię, ale na razie nic się nie dzieje i nic nie słychać. Naraz patrzę, a w oknach budynku COKB pełno ludzi. Wychodzimy z kolegami dalej, nic nie widać, za to słychać jakiś szum, jakieś skandowanie. Wybiega mistrz i wszystkich zagania z powrotem do hali. Weszliśmy, ale jesteśmy ciekawi co to jest. Wreszcie widzimy! Idą! Masa ludzi idzie w kierunku K-3, niosąc transparenty, skandują, z początku nie mogłem się zorientować co skandują, wreszcie rozróżniam i już dobrze słyszę. Krzyczą: „Chodźcie z nami”. Gdy przeszli, zaczęły się gorące dyskusje w naszym gronie. Za chwilę słyszymy ich znowu – wracają, idą w kierunku dyrekcji.

Później dowiaduję się, że strajkujący wyszli na miasto i poszli pod KW w Gdańsku. Chyba po dwóch godzinach słyszę ich z powrotem. Wychodzę przed halę i widzę jak wracają, jest ich jeszcze więcej, pchają przed sobą radiofonizowaną „Nyskę”. Siedzący wewnątrz człowiek wygłasza różne hasła. Za chwilę znów wracają i idą w kierunku drugiej bramy. W tym też czasie zaczęli zjeżdżać kierowcy wózkami do zajezdni i trzeba było zabrać się do ich ustawiania i podłączania do ładowania. Wszyscy zastanawialiśmy się, co z tego wyniknie, bowiem dowiedzieliśmy się, że stoczniewcy znów poszli pod KW.

Po godz. 18, gdy skończyłem pracę, udałem się na dworzec główny w Gdańsku, żeby pojechać do domu. Mieszkałem wtedy w Pszczółkach. Przyjeżdżam na dworzec. Lecz ciekawość zaniósła mnie na ulicę. Zobaczyłem wtedy koniec pochodu koło dworca. Czoło znajdowało się przed KW. Ale i tu dochodziły krzyki. Wtem patrzę, a tu jakiś podpity młodzieniec zaczyna szarpać za słupki z łańcuchami, które odgradzały chodnik od jezdni. Na to wyskoczył z tłumu jakiś stoczniewiec, dał temu młodzianowi po łbie i mówi do niego: „Co robisz, durniu, my nie przyszliśmy demolować, tylko domagać się o swoje”. Zaraz inni ludzie stojący tam poparli stoczniewca i młodzian odszedł jak zmyty.

[...] W domu o wydarzeniach w Gdańsku nic nie wiedzieli. Żona moja pracowała wtedy w Szpitalu Wojewódzkim i miała jechać do pracy na nocną zmianę. Postanowiliśmy, że ja pojedę z nią razem do Gdańska i jakoś ją przeprowadzę bokiem. Po przyjeździe do Gdańska wyszliśmy z wagonu. Jeszcze słychać było ludzki gwar i huk petard, które rzucali milicjanci w kierunku tłumu. Po krótkim namyśle poszliśmy z żoną wzdłuż toru do mostu i tam po zbozcu wdrapaliśmy się na ulicę. Tutaj było dziwnie cicho i spokojnie. Więc żona poszła do pracy już sama, ja zaś zawróciłem z powrotem na dworzec, po drodze zatrzymałem się na tej krótkiej uliczce biegnącej z góry w kierunku dworca PKP. Przedemną była tyraliera milicjantów, którzy rzucali i z tej strony w tłum ludzi petardy z gazem łzawiącym

oraz spuszczały beczki po olejach i benzynie w dół, w celu zatarasowania drogi. Wreszcie doszedłem do dworca. Pociąg mój był już podstawiony, więc wsiadłem do niego. Naraz zaczęły przyskać szyby w wagonach, ludzie padli na podłogę, inni zaczęli wyskakiwać z wagonów na peron. Okazało się, że to grupy młodych ludzi sforsowały płot od ul. 3 Maja i zaczęły rzucać kamieniami w kierunku wagonów. Milicja rzuciła w nich parę petard i wszyscy puciekali. W tym czasie zakończyła się demonstracja przed KW, po prostu MO jakoś udało się rozpedzić tłum.

Wtedy rozpoczęła się pogoń za ludźmi, kogo milicjant dopadł to czy winny, czy niewinny obrywał pałką gdzie popadło. Kogo złapali to marny jego los, dostawał pałką po głowie lub gdzie popadło, a na dodatek kopniaka i był zabierany do samochodu. Widziałem jak wpadli na peron rozjuszeni milicjanci, do kogo doszli to uderzali pałką i kazali pokazywać ręce. Kto miał brudne, to dostawał pałką po rękach, był wyciągany z wagonu i pędzony do samochodu, po drodze był częstowany pałką i kopniakiem. Podeszli i do mnie. Ja miałem na rękach założone rękawiczki, to dostałem pałkami i usłyszałem słowa: „Rączki, rączki”. Zjąłem rękawiczki, ale ręce były czyste, to tylko dostałem od nich w ucho i mnie zostawili w spokoju. Obok mnie stał starszy siwy człowiek, przedtem opowiadał mi, że nie może się dostać do domu na Stogi, jest mechanikiem i przyjechał z pracy z Tczewa. Podeszli i do niego, kazali i je mu pokazać ręce. Miał je brudne od smaru i oleju. To milicji wystarczyło. Jeden trzepnął go pałką, drugi ręką w twarz, a stojący na peronie milicjant wyciągnął go siłą z wagonu, i popędził przed sobą okładając pałką i częstując kopniakami. Wreszcie gdy przebiegli cały pociąg, zezwolili na odjazd. Po przyjeździe do domu opowiedziałem co się działo w Gdańsku.

Na drugi dzień gdzieś tak około godz. 16 usłyszałem w telewizji komunikat powiadający o godzinie milicyjnej. Po tym wystąpił w telewizji p. Kociołek. Obrzucał nas najgorszymi słowami, mówił, że jesteśmy bandytami, że co my chcemy, przecież w stoczni zarabiamy ponad trzy tysiące, a niektórzy to i pięć tysięcy. A ja w tym czasie, zarabiałem dwa i pół tysiąca. Wściekłem się na taką gadkę i wyłączyłem telewizor. Żona mi wtedy mówi: „Jedź do pracy, bo się nie dostaniesz i cię milicja zwinie, bo będzie od 18 godzina milicyjna”.

U nas pracowano w ruchu ciągłym i zmiany musiały przychodzić. Wyskoczyłem z domu, poleciałem na peron. Akurat nadjechał pociąg do Gdańska. Wsiadłem i pojechałem. Wyjeżdżając z Pszczółek słyszałem jakiś dziwny łoskot dolatujący od pobliskiej szosy. Inni ludzie też to usłyszeli, przez okna widać było jak w kierunku Gdańska suną czołgi. Wtedy też dowiedziałem się, że w Gdańsku został zniszczony Dworzec Główny.

Ale wracam do wątku. Ludzie na widok tych czołgów zaczęli szemrać co to za władza ludowa, która na robotników wysyła czołgi. Jakoś szybko dojechaliśmy do Oruni, po drodze na każdym przystanku ludzie z pociągu informowali o sunących w kierunku Gdańska czołgach. Z Oruni pociąg ruszył i zatrzymał się w Gdańsku Południowym. Dochodziła godzina 17, staliśmy dość długo. Kto mieszkał na Biskupiej Górze lub na Stogach czy w Dolnym Gdańsku to wysiadł i chyłkiem przemykał się do domu. Reszta musiała czekać aż pociąg ruszy i pojedzie dalej. Gdzieś tak około godz. 18.30 znowu usłyszeliśmy ten łoskot. Z początku daleki, ale przybliżał się. Wreszcie zobaczyliśmy! Z przodu jechały dwa samochody osobowe, na dachach ich migotał tzw. wariat, za nim i sunęły czołgi i wozy opancerzone. Liczyliśmy je, ale prędko rachunek się pomylił. Wreszcie przejechały. Po jakimś czasie ruszył i nasz pociąg — dojechaliśmy do wiaduktu, nad którym przebiega ul. Świerczewskiego. Na dole obok toru stał wóz ciężarowy z napisem „milicja”. Ciekawi mnie co zobaczę w samym Gdańsku. Dojeżdżając do Dworca Głównego widzę płonący budynek KW, w nos i oczy uderza drażniący zapach gazów łzawiących, którymi jest nasycone powietrze. Pociąg się zatrzymuje na stacji. Wsiadam i idę zobaczyć jak wygląda budynek dworcowy. Wchodzę do holu i stoję z przerażenia na widok tego co zobaczyłem.

[...] Oczy mnie zaczęły piec od gazu. Więc szybkim krokiem idę na peron. Mam szczęście, bo stoi pociąg elektryczny w kierunku Gdyni, zdążyłem wsiąść do niego. Przyjechałem jeden przystanek dalej — do stoczni (koło bramy nr 3). Idę przez ten drewniany most, dochodzę do bramy i nikt mnie nie zatrzymuje. Przechodzę przez bramę, wartownicy nie reagują, widzę tylko, jak po ulicy, która biegnie przed zajezdnią, chodzą trójkami lub dwójkami ludzie z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Dochodzę do zajezdni wózków, brama zamknięta, lecz w dyżurce pali się światło. Pukam do okna, ukazują się twarze moich kolegów. Robią miny, jakby zobaczyli ducha. Otworzyli mi furtkę, wszedłem do zajezdni, a oni pytają się mnie jakim cudem dojechałem i jakim cudem dostałem się do stoczni, bo przecież stocznia jest otoczona przez milicję i wojsko. Opowiadam swoje przygody i informuję o zbliżających się czołgach. W tym momencie przerywam, nasłuchuję i mówię do kolegów: „Słyszycie!”. Z początku nie chcieli mi wierzyć o tych czołgach, ale później nasłuchują i słyszą ten łoskot gąsienic o bruk. Obserwuję ich i widzę jak twarze im bledną. Jeden z kolegów usiadł na stole, głowę zwiesił i nic przez chwilę nie mówi. Słyszemy jak czołgi dojeżdżają do 3 bramy i zatrzymują się.

Postanawiamy iść do bramy i zobaczyć, co tam się dzieje. Dochodzimy, strażnicy stanęli w przejściu i też patrzą na czołgi. Dochodzimy do nich i szeptem rozmawiamy. Nagle jeden z kolegów szturcha mnie w bok i głową pokazuje jakiś punkt. Patrzymy wszyscy i widzimy jak uchyla się właz czołgu i wyskakuje z niego żołnierz. Chyłkiem podbiega do nas. Prosi o papierosa. Czujemy od niego zapach alkoholu. Dajemy mu parę papierosów, bo mówi, żeby dać i dla jego kolegów. Zapytujemy go, po co i skąd tu przyjechali. Patrzy na nas w osłupieniu. Słyszę jak mówi po cichu: „O rany, to wy Polacy?”. Odpowiadamy, że tak, on na to: „Przecież nam w jednostce w Białymstoku powiedziano, że jedziemy bronić Gdańska, bo Gdańsk został opanowany przez Niemców zamieszkałych w Gdańsku i przez desant niemiecki, który opanował Gdańsk i Stocznnię Gdańską”. Opowiedzieliśmy mu całą prawdę, co się tu dzieje i o co chodzi. Pamiętam wtedy jego słowa: „A to cholery, sk...syny, ale nas wrobili”. Po czym odwrócił się na pięcie i wrócił do czołgu. Myśmy trochę postali, a później każdy pojedynczo wracał do zajezdni. Każdy był zamyślony. Nikt nie chciał rozmawiać. I cała noc zeszła nam na czuwaniu. Zamknęliśmy bramę, wygasiliśmy światło i w strachu nasłuchiwalismy, co się dzieje na zewnątrz. Byliśmy pewni, że w każdej chwili mogą te czołgi wjechać na teren stoczni. Tak zastał nas świt 16 grudnia 1970 roku.

O godz. 6 wyszedłem ze stoczni, gdy już byłem na peronie, obejrzałem się i zobaczyłem jak do bramy zbliżyła się kolumna stoczniowców, zatrzymywali się przed łańcuchem. Zaintonowali: „Jeszcze Polska”. Wtedy wojsko czy milicja cofnęła się. Zarepetowano broń i wycelowano ją w stoczniowców, lufy czołgów też się podniosły i zostały wycelowano w tych ludzi. Usłyszałem szloch ludzi stojących ze mną na peronie i słowa: „Boże, Boże”.

Nadjechał pociąg. Wsiadłem i pojechałem do Gdańska. Tu już była komunikacja przerwana, nie odchodził żaden pociąg w kierunku Tczewa. Zadzwoiłem do żony do pracy i powiedziałem jej, że nie mogę wyjechać do domu, bo pociągi nie chodzą. Wtedy też usłyszałem suchą salwę, widziałem jak jedni ludzie biegli w kierunku bramy nr 2, drudzy biegli z tamtego kierunku, w oczach mieli obłęd i strach, byli bladzi i zrozpaczeni. Zatrzymuję jednego i pytam się go, co się stało? A on mi na to: „Hańba! Władza ludowa strzela do robotników!”. I dalej mi mówi, że są zabici i ranni wśród stoczniowców.

Wróciłem na dworzec. Idę i nagle widzę: Ludzie stoją, jedni pokazują coś palcami, drudzy zdejmują nakrycia głów i stoją w miejscu. Oglądam się i ja i co widzę? Widzę jak na jednym z dźwigów powiewa flaga narodowa z czarną wstążką.

ZASTANAWIAJĄCE



Fot. Grzegorz Mehring / Archiwum ECS

dr Konrad Knoch

historyk specjalizujący się w tematyce XX wieku, współtwórca wystawy stałej ECS, członek zespołu kuratorskiego wystawy STOCZNIA, wykładowca Uniwersytetu Gdańskiego

Zamieszczenie takich wspomnień przez „Głos Stoczniovec” [dalej: „Głosu”] to to zastanawiająca sytuacja. Po Sierpniu '80 o pewnych rzeczach można było pisać, i to pisać odważniej niż wcześniej. Także w prasie branżowej, wydawcą „Głosu” było Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego. O Grudniu jednak nie było wolno pisać. Może wydawać się naturalne, że stoczniowa prasa przypomina o tragedii, która rozegrała się w stoczni, tylko że „Głos” nawet po Sierpniu przez długi czas nie odnotowywał strajków. Po legalizacji NSZZ „Solidarność” pojawiła się rubryczka informacji związkowych, ale to przede wszystkim była gazeta pełna branżowych danych o produkcji i tego typu relacji z zakładów. Jednocześnie redakcja „Głosu” była ciekawym miejscem, w którym pracowało wielu gdańskich literatów. Teksty traktowały o przemyśle, ale pisało je w ujmujący, wyszukany sposób. We wspomnieniach „Elektryka” zwracają uwagę poetyckie momenty, np. ten „sztandar z czarną kokardą” związający z dźwigu. W relacjach świadków spotykana jest informacja, że flaga z kirem wisiła w stoczniowym szpitalu. Nie dowiemy się, czy ta relacja nie została jakoś mocno podredagowana, czy nie spotęgowano takich obrazów, aby nadać jej dodatkowy ładunek emocjonalny.

Inna sprawa to żołnierz, zwierający się stoczniowcom, że jego oddział był przygotowany na Niemców w Gdańsku. Niby mógł sobie zakpić z nich. Sądzę, że ten fragment spełnia inne zadanie. W prasie w PRL dopuszczano na łamy krytykę, ale razem z usprawiedliwieniem. „Głos” potrafił na przykład pisać o pijaństwie w stoczni, dodając solennie, że władza dostrzega ten problem i już ma gotowe rozwiązania. Więc opowieść o czołgach na ulicach Gdańska i „Niemcach” to usprawiedliwienie. „Żołnierze byli zdezorientowani, więc wojsko jest szlachetne i nieskazitelne”, brzmiał przekaz. Tylko, że to część prawdy, manipulacja, bo już nie mówi się, kto ich do tego Gdańska wysłał. O taką pozorowaną krytykę też dbali dziennikarze „Głosu”.

materiały zebrał: Arkadiusz Bilecki

/ politolog ze specjalizacją ustrojowo-samorządową, pracownik Wydziału Naukowego i Zbiorów ECS, doktorant na Uniwersytecie Gdańskim



Ściana płaczu przy Bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina, 1 maja 1971
Fot. Leszek Latos / Zbiory ECS

ŚCIANA PŁACZU

Partia bała się pierwszej rocznicy grudniowej rewolty. Wszystkie służby postawiono w stan gotowości – zabezpieczano, inwigilowano, kontrolowano. Lęk budziła wizja masowych demonstracji robotniczych, wspartych przez studentów, a czarne scenariusze zakładały nawet opanowanie przez protestujących drukarni czy rozgłośni radiowych i telewizyjnych.

Na osiem śmiertelnych ofiar rewolty grudniowej 1970 roku w Gdańsku, pięciu mężczyzn pracowało w największym zakładzie północnej Polski – Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

Transparenty pierwszomajowe

Część pracowników Stoczni Gdańskiej im. Lenina zamierzała upamiętnić swoich kolegów, wmurowując tablice pamiątkowe lub wznosząc pomnik. Żądania te pojawiły się już podczas Święta Pracy 1 maja 1971 roku. W pochodach uczestniczyli ludzie trzymający polskie flagi przepasane kirem, wznosili transparenty z napisami „Żądamy ukarania winnych za zajścia grudniowe”, wzywano do odstonięcia tablicy upamiętniającej poległych stoczniowców. W pobliżu Bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina składano pamiątkowe wieńce z szarfami opatrzonymi hasłami: „Poległym w Grudniu 1970 roku”, „Załoga W-4”, „Załoga K-2”, „Pamięci Poległym Stoczniowcom Wypadkach Grudniowych” (zapis oryginalny). Podobnie miało być w Święto Zmarłych, ale w wyniku „działań profilaktycznych” oraz przedsięwzięć operacyjnych Służby Bezpieczeństwa i MO wszystkich planów nie udało się robotnikom zrealizować. Społeczność Trójmiasta nie zapomniła o zabitych w grudniu.

Lęki władzy

Władze bały się pierwszej rocznicy grudniowej rewolty. Wszystkie służby zostały postawione w stan gotowości. Kонтrewolucja nie miała prawa rozlać się po całym kraju.

W dniach 12–18 grudnia 1971 roku Stocznia Gdańska im. Lenina zabezpieczała 10 funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa – kontrolowali punkty niewralgiczne zakładu, m.in. acetylownię, tlenownię, podstacje energetyczne, sprawdzali zabezpieczenia pomieszczeń, w których znajdowały się powielacze, drukarnie, maszyny do pisania, a w porozumieniu ze Strażą Przemysłową baczniej przyglądali się procedurom sprawdzania przepustek pracowniczych. Wszystko po to, by wróg nie przejął kontroli nad zakładem. Podobne regulacje dotyczyły wszystkich większych zakładów na Wybrzeżu, ale także uczelni wyższych oraz zakładów poligraficznych i mediów, jak Polskie Radio w Gdańsku i lokalny ośrodek telewizji.

Przeprowadzono wiele rozmów profilaktyczno-ostrzegawczych z osobami wrogo nastawionymi do władz w czasie rewolty grudniowej, ale i z ludźmi, którzy chcieli zadbać o pamięć ofiar Grudnia '70 – występowali na rzecz budowy tablicy czy składali wieńce przy stoczniowej Bramie nr 2.

Inwigilacja i penetracja

Władza podjęła decyzję o zainstalowaniu przy stoczniowej Bramie nr 2 zakrytych punktów obserwacyjnych, aby śledzić, kto składa wieńce i pali znicze przy ścianie płaczu, jak w żargonie służb i członków partii nazywano mur obok bramy, oddzielający stocznia od miasta. Kontrolowano również korespondencję zakładową oraz „zabezpieczono” łączność telefoniczną stoczni.

Z pracowników Stoczni Gdańskiej inwigilowano w tym okresie: Henryka Lenarciaka (czytamy o nim w aktach: „jeden z organizatorów i inspiratorów strajku. Klerykał, żal-kontent i rozrabiacz”), Mariana Zielińskiego, Jan Miotka, Leona Bacha, Jerzego Lesława Górskiego, Józefa Lecha, Zygmunta Tyskę, Andrzeja Kuciare, Franciszka Filbrandta i Wacława Zuchniewicza. Określano ich mianem „rozrabiaczy, politykierów, występujących przeciwko PZPR”. Funkcjonariuszy wszystkich wydziałów gdańskiej Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej wysyłano w dzień i w nocy na „penetrację” środków komunikacji miejskiej. Mieli przeciwdziałać „wrogiej propagandzie pisanej”.

Obawiając się o własne bezpieczeństwo, władza poleciła wzmocnić ochronę obiektów Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej – gmach przy ul. Okopowej 9 i 15 oraz na Biskupiej Górze, obiekt Wydziału Transportu przy ul. Kartuskiej oraz budynki i urzędzenia Radiokontroli (nasłuch i radionamierzenie) w Miłocinie.

Garstka spiskowców

W czasie rewolty grudniowej zabitych najczęściej chowano wieczorem, często bez udziału rodzin. Rok później funkcjonariusze Wydziału IV Służby Bezpieczeństwa, zajmującego się inwigilacją duchownych, mieli obserwować groby zamordowanych robotników. Ich zadaniem było niedopuszczenie do „demonstracyjnego” składania wieńców, czy propagowania antypaństwowych treści szkalujących władzę.

Jednocześnie dogłębnie analizowano raporty dzienne. Rozpoznawano sytuację i nastroje gdańskich robotników. Troszczono się nawet o stan temperatury w stoczniowych halach, a było zimno, bo 2 st. Z dokumentów służb wiemy, że w Stoczni Gdańskiej im. Lenina rozmawiano o wmurowaniu tablicy pamiątkowej oraz złożeniu kwiatów przed Bramą nr 2 i na grobach pomordowanych, ale spiskowało raptem ok. 35 osób. Skutecznie musiała działać Służba Bezpieczeństwa przeprowadzająca rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze. Zapal robotników skutecznie ostudziła informacja, że zakłady pracy wyślą oficjalne delegacje, które złożą wieńce na grobach.

Środki ponad miarę

Od 12 do 18 grudnia 1971 roku Służba Bezpieczeństwa odnotowała kilka przypadków składania kwiatów pod ścianą płaczu, modlić się też próbowało kilka osób i znaleziono ulotki nawiązujące do tragicznych grudniowych dni 1970 roku.

Krótki opis przygotowań bezpieki do inwigilacji pierwszej rocznicy rewolty grudniowej unaocznia ogrom użytych środków, niewspółmierny do sytuacji. Zgromadzenie takich sił świadczyło o tym, że rządzący obawiali się choćby najmniejszej iskry, która może wzniecić wielkie protesty. Działania służb podjęte w 1971 roku i latach następnych miały prowadzić do zapomnienia przykrych dla władz komunistycznych „wypadków” grudniowych, jak rewoltę nazywały propagandowe media publiczne. Chciano wymazać tą datę ze świadomości gdańszczan. Nic bardziej mylnego. Dokładnie 10 lat później pomordowani robotnicy otrzymali godne upamiętnienie – przed Bramą nr 2 odstonięto monumentalny pomnik Poległych Stoczniowców 1970.

dr Przemysław Ruchlewski
/ historyk, specjalista z zakresu politologii i stosunków międzynarodowych,
wicedyrektor ECS ds. naukowych,
kierownik Wydziału Naukowego i Zbiorów

PACZKI LUKSUSU

Historia o tym, jak szanowany prawnik został Renią, paczki zza granicy karmiły i cieszyły, a do tego przystąpiły się zagranicznej prasówce ku pokrzepieniu serc.

Gwoli wstępu... Stan wojenny to nie tylko dotkliwe ograniczenia praw obywatelskich, ale też wszechobecna bieda. Szczególnie trudno było rodzicom małych dzieci oraz opiekunom seniorów i chorych. Dobrymi luksusowymi stają się tak podstawowe produkty, jak mydło, proszek do prania czy herbata.

Zawiązanie akcji

Ta opowieść ma dwoje bohaterów pierwszoplanowych i jednego drugoplanowego, ale za to zbiorowego.

Profesor Stanisław Matysik był rektorem Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie, a potem pierwszym dziekanem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Z początkiem grudnia 1981 roku poleciał do Paryża, gdzie przez dwa tygodnie miał dawać wykłady na uniwersytecie. Anna Maria Mydlarska z domu Matysik to córka profesora, mama dwojga małych dzieci, żona Jacka Mydlarskiego, wtedy jeszcze studenta malarstwa w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku (dziś Akademii Sztuk Pięknych). Ukończyła filologię polską, ale biegle władała językiem angielskim, co sprawiło, że podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” pracowała w Biurze Tłumaczy oraz w redakcji Biuletynu „Solidarności”. Zbiorowy bohater to dziennikarze i filmowcy, którzy we wrześniu i październiku 1981 roku gościli na zjeździe Solidarności w Gdańsku i korzystali z pomocy językowej Anny Marii Mydlarskiej. Jest 13 grudnia 1981.

Renia

Profesor Stanisław Matysik dowiaduje się, że w Polsce wprowadzono stan wojenny, granice zamknięte. Co robić? Podjęcie decyzji ułatwił mu prezydent Francji Mitterrand, który zdecydował, że wszyscy profesorowie z Polski, którzy aktualnie przebywają we Francji, mogą pozostać. Niedługo później mianowano ich profesorami Sorbony, co dawało pracę i perspektywę.

– Telefony nie działały, nie mieliśmy kontaktu, to był trudny czas – wspomina Anna Maria Mydlarska, od niedawna emerytowana kierowniczka Działu Dokumentacji Filmowej ECS.

Szybko jednak przyszedł list z Francji. Nadawcą była Renia.

– Po charakterze pisma poznałam, że to tata. Starał się ukryć swoją tożsamość, wiedząc, że mam związki z opozycją. A pewności, że cenzura nie przeczyta listu nie było – opowiada adresatka.

Później zaczęły przychodzić mniejsze i większe paczki. Karton, który Anna Maria Mydlarska przekazała do zbiorów ECS, to opakowanie po jednej z pierwszych przesyłek.

– Paczki miały podwójne znaczenie, z jednej strony były gestem pamięci o nas tych, co są na Zachodzie, z drugiej realnym wsparciem.

Proszek do prania

W paczkach od ojca były mydło, szampon, słodczyce dla dzieci, podstawowe produkty spożywcze, niekiedy flakonik perfum, czyli dobro zawsze w PRL luksusowe, a w stanie wojennym luksusowe po wielokroć. Francja, jak wiele innych krajów, zniósła opłaty na przesyłki do Polski.

– Tylko raz zapłaciłam potężne cło – ze śmiechem wspomina adresatka. – To była wielka paczka gumy balonowej dla dzieci.

Paczki słał nie tylko ojciec, ale też dziennikarze i filmowcy ze świata, z którymi Anna Maria Mydlarska pracowała podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”.

– Wszyscy dziennikarze, z którymi współpracowałam w czasie zjazdu przystali mi paczki – opowiada. – Od szwedzkiego dziennikarza dostałam na przykład kożuszek, żebym nie marzła w pracy. A komunistyczny dziennikarz z krajów skandynawskich przysłał proszek do prania. Dużo było w tych paczkach luksusy – kawa, czekolada, herbata...

Marzec 1982 roku okazał się szczególnie trudny. Lodówka i kuchenne szafki świeciły pustkami. Dziennikarka nie mogła wyjść z domu na polowanie (każda próba zrobienia zakupów w stanie wojennym była niczym łowy), bo syn chorował. Syn chory, a więc nie poszedł do żłobka, gdzie posiłek był zagwarantowany.

– Nagle stuka do drzwi listonosz, trzyma paczkę. W środku artykuły spożywcze, soczki... Radość była wielka.

Często w paczkach zagraniczni dziennikarze przysyłali też produkty dla niemowląt, dzieci Anny i Jacka Mydlarskich były już starsze, więc towary rozdawało się innym potrzebującym.

Prasówka

Scenograf „Blaszanego bębenka”, który w 1979 roku według prozy Günтера Grassa został nakręcony przez Volkera Schlöndorffa, jako papieru pakowego używał obficie gazet – niemieckich, francuskich, amerykańskich i angielskich. We wszystkich pisano o stanie wojennym w Polsce. Tak narodził się pomysł twórczy.

– Robiłam z tych gazet prasówkę. Początkowo udostępniałam wszystkim podziemnym drukarzom, od 1983 roku przede wszystkim „Przeglądowi Politycznemu” i sama czytałam podczas tajnych spotkań kościele świętego Mikołaja w Gdańsku. Wszyscy chcieli wiedzieć, co prasa zagraniczna pisze o nas.

Po raz pierwszy po wprowadzeniu stanu wojennego Anna Maria spotkała się z ojcem w Paryżu w grudniu 1983 roku.

– Minister kultury Francji zorganizował wystawę dla młodych artystów z Polski, którzy bojkutowali władzę. Znalazły się na niej również prace mojego męża, Jacek dostał paszport i mnie udało się wówczas też wyjechać.

Profesor Stanisław Matysik wrócił do kraju tuż przed wyborami 4 czerwca 1989. Do śmierci wykładał na Uniwersytecie Gdańskim. Dosłownie do śmierci. Zmarł na pięć minut przed rozpoczęciem wykładu w marcu 1994.

Katarzyna Żelazek



Opakowanie po jednej z pierwszych przesyłek, którą córce przysłał ojciec, prof. Stanisław Matysik
Fot. Karolina Lejczak-Pastuszka / Archiwum ECS



Stempel wykonany w Ośrodku Odosobnienia dla Internowanych w Wierzchowie Pomorskim był wzorowany na rysunkach Zbigniewa Lengrena, twórcy postaci Profesora Filutka, 1982
Autor nieznan / Zbiory ECS

POCZTA PODZIEMNA

Szacuje się, że w obozach internowania w stanie wojennym powstało 20–35 tysięcy znaczków i bloków pocztowych, niestety nazwisk ich autorów w większości nie znamy. Choć te znaczki i stemple nie funkcjonowały w państwowym obiegu pocztowym, internowani opatrywali nimi korespondencję adresowaną do rodzin. Znaczki podziemnej Solidarności stały się symbolem oporu wobec władzy komunistycznej, ale także oznaką istnienia wolnego państwa podziemnego.



Ręcznie wykonane pieczęcie do odbijania ulotek z regionu sieradzkiego NSZZ „Solidarność”, hasła głoszą m.in.: „Precz z besprawem i hegemonią PZPR” (pisownia oryginalna), „Żądamy wypuszczenia więźniów politycznych”

Fot. Karolin Lejczak-Pastuszka / Zbiory ECS / Dar Marcina Żywicy ze spuścizny po Tadeuszu Szymonie Żywicy

Idea druku i kolportażu znaczków Poczty Podziemnej Solidarności nawiązywała do czasów I i II wojny światowej, kiedy to w obozach jenieckich powstawały poczty obozowe. Podziemna poczta Solidarności, funkcjonująca w latach 1982–1988 w miejscach odosobnienia dla internowanych, stanowiła zatem nie tylko praktyczny wyraz dążeń do zachowania namiastki normalności, lecz także symboliczne odniesienie do nomen omen stanów wojny oraz podobnych okoliczności i warunków życia polskiego społeczeństwa.

Sardynki w oleju

Pierwsze znaczki powstały w latach 1980–1981 w ramach tak zwanej poczty strajkowej, zaś od 1982 roku, zważywszy na miejsce ich wytwarzania, poczty obozowej. Z badań wynika, że w warunkach obozowych powstało łącznie ok. 6,5–7 tysięcy motywów filatelistycznych.

„A zaczęło się wszystko od tego, że 27. miałem imieniny i na te imieniny dostałem pudełeczko sardynek w oleju. No więc już olej był, trzeba było zrobić jeszcze sadzę. No więc kawałek prześcieradła (zniszczyłem prześcieradło państwowe) i w wygiętej blaszce zebrałem trochę sadzy i roz mieszałem” – po latach pierwsze próby twórcze wspominał Jan Tarnowski, działacz Solidarności, internowany w Goleniowie i Wierzchowie, autor książki „Znaczki szczecińskiego podziemia” (IPN, 2020).

Pomimo początkowo dość prymitywnej metody wykonania znaczków, odciskanych najczęściej ze stempli sporządzonych z surowych ziemniaków, w miarę upływu czasu i wyspecjalizowania techniki ich tworzenia, przybierały one coraz bardziej wyrafinowaną artystycznie formę. Wśród nich zdarzały się nawet egzemplarze precyzyjnie opracowane graficznie i wydrukowane z użyciem całej palety barw i odcieni.

Zainteresowanie filatelistów

Na znaczkach podziemnych zamieszczano najczęściej wizerunki internowanych opozycjonistów, ale także nazwiska ofiar stanu wojennego, jak chociażby poległych górników z kopalni „Wujek”. W niektórych obozach internowania tworzone stemple z widokiem ośrodka czy też upamiętniano wydarzenia z Grudnia '70. Nieco bardziej optymistyczne akcenty pojawiały się natomiast na znaczkach z widokiem pór roku czy też takich, które przedstawiały dziecko czytające książkę z widocznymi napisami „NSZZ, NZZ, SDP” (Niezależne Samorządne Związki Zawodowe, Niezależne Zrzeszenie Studentów, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich). Nie brakowało również znaczków o jednoznacznie satyrycznej wymowie, ukazujących milicjantów czy dygnitarzy partyjnych.

Tym, co przede wszystkim odróżniało Poczta Solidarności od jej oficjalnego odpowiednika, była oprawa graficzna wydawanych znaczków.

Antoni Kobyliński, kolekcjoner i autor monografii „Sześć lat Podziemnej Poczty w Polsce 1982–1988” (MPR, 1898) wspomina: „Już pierwsze emitowane serie znaczków wzbudziły ogromne zainteresowanie nie tylko wśród filatelistów. Społeczeństwo polskie przyjęło ten pomysł z dużym aplauzem, zaś w sferach rządowych można było zauważyć zdenerwowanie i niepokój. Podziemna Poczta zaczęła się szybko rozwijać i w nieoficjalnym obiegu pojawiały się coraz to nowe i coraz to ciekawsze graficznie wydania”.



Pieczęcie obozowe z Ośrodka Odosobnienia dla Internowanych w Strzebielinie, podejmujące tematykę odrodzenia Solidarności oraz jej trwania mimo uwięzienia działaczy, 1982

Autor nieznan / Zbiory ECS / Dar Jana Krezysłona

Wartość symboliczna

Znaczki poczty podziemnej miały przede wszystkim walor propagandowy, podtrzymywały morale. Nie bez znaczenia było, że nadawały sens dłużącemu się w odosobnieniu czasowi. Służyły także przetrwaniu zdelegalizowanego w stanie wojennym związku. Dochód z ich sprzedaży przeznaczano bowiem zarówno na finansowanie struktur podziemnej Solidarności, jak i pomoc dla osób represjonowanych i ich rodzin. Zniesienie stanu wojennego w 1983 roku bynajmniej nie zakończyło działalności podziemnej poczty Solidarności, którą kontynuowano do końca trwania minionego systemu politycznego, nie zważając na grożące zań szykany, a nawet aresztowania. Znaczki wydane w latach 80. przez podziemną pocztę Solidarności, mimo iż obecnie mają znaczenie przede wszystkim kolekcjonerskie, to jednak z punktu widzenia pamięci historycznej są dowodem na to, że ich symboliczna wymowa jest trudna do przecenienia.

dr Judyta Bielawska

/ historyczka, specjalizuje się w naukach o polityce i bezpieczeństwie,
pracuje w Dziale Naukowym ECS

SOK Z BURAKA

Gumka kreślarska, linoleum z wykładziny podłogowej z korytarza, noga od krzesła, obcas buta... – nie było takiego materiału, w którym w ośrodkach internowania nie dałoby się wyrzeźbić wzoru stempla. Tusz często zastępowano miksturami własnej produkcji, np. jodyny i czarnej pasty do butów, zawartości wkładu do długopisu czy sokiem z buraka.



Pieczone strajkowe z Sierpnia '80, wykonane w Stoczni Gdańskiej im. Lenina oraz Stoczni Remontowej NAUTA w Gdyni, 1980
Autor nieznan / Zbiory ECS



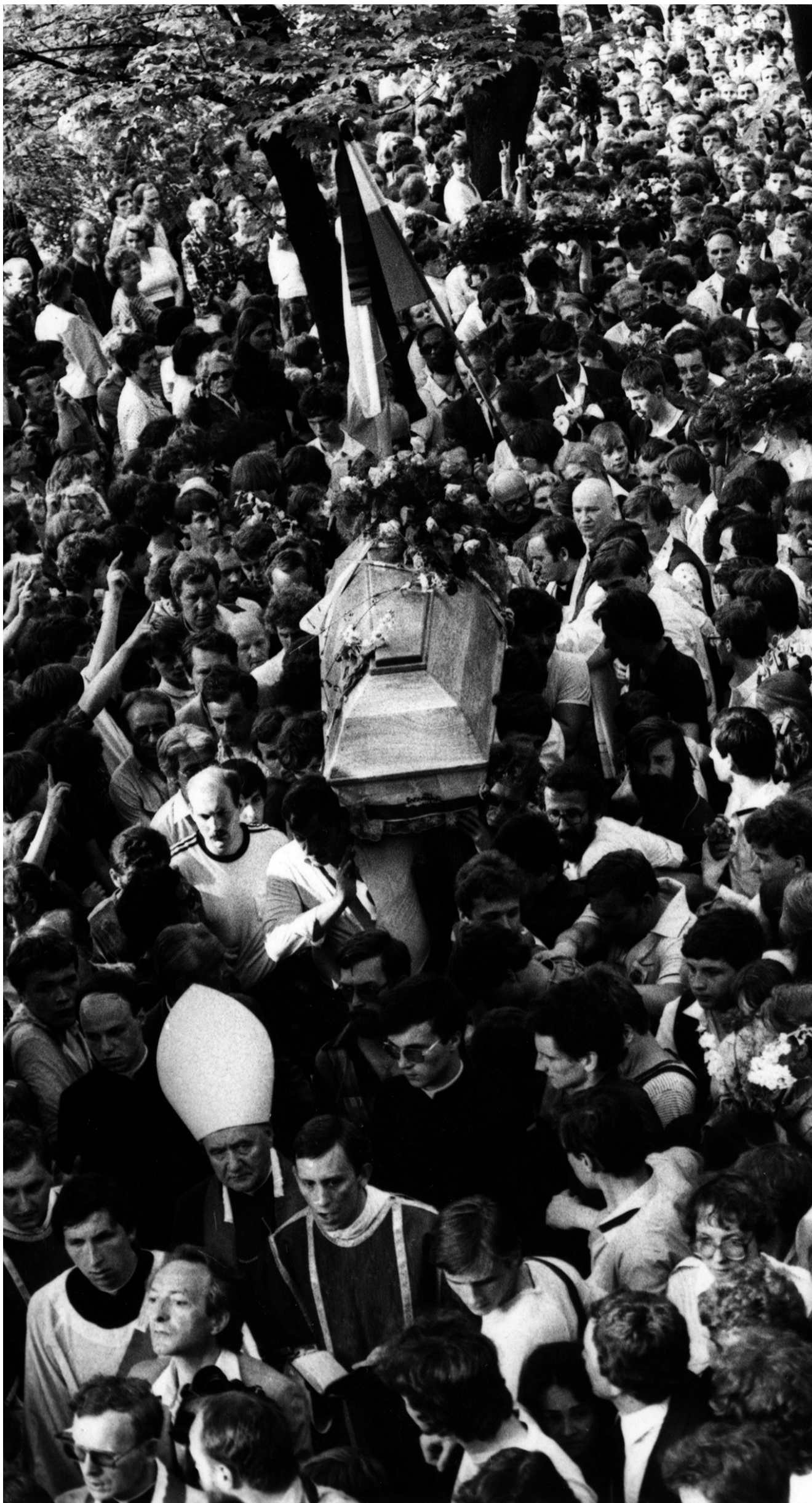
Pieczone obozowe z Ośrodka Odosobnienia dla Internowanych w Kielcach-Piaskach, które powstały z okazji Dnia Dziecka. Internowani nie zapominali o rodzinach w trakcie uwięzienia, czego dawali wyraz w projektach stempli ukazujących bezwzględność i okrucieństwo decyzji reżimowych władz, 1982
Autor nieznan / Zbiory ECS / Dar Urszuli Niewiadomskiej



Pieczone obozowe z ośrodków odosobnienia dla internowanych we Włocławku i Potulicach. Wśród internowanych nie zabrakło działaczy Niezależnego Zrzeszenia Studentów i organizacji młodzieżowych, jak kilkunastoletniego Arkadiusza Makara, który został aresztowany za działalność opozycyjną. Najpierw trafił do więzienia przy ulicy Kurkowej w Gdańsku, a następnie do Zakładu Karnego w Potulicach, 1982-1983
Autor nieznan / Zbiory ECS / Dar Arkadiusza Makara



Bardzo duże emocje wśród internowanych budziła rywalizacja sportowa. Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej '82 w Hiszpanii na stałe zapisały się w pamięci Polaków zwycięskim remisem z drużyną Związku Radzieckiego. Dla uwięzionych opozycjonistów – którzy na ten czas w Strzebielinku zawieszili np. wykłady samokształceniowe w kaplicy – mecz był źródłem podziawów. Jedni uważali, że nie należy kibicować drużynie socjalistycznej PRL, inni nie widzieli w tym ujemy. Pieczęcie obozowe z ośrodków odosobnienia w Strzebielinku i Uherce, 1982
Autor nieznan / Zbiory ECS



Grzegorz Przymek został pochowany na Powązkach, jego pogrzeb był pierwszą od czasu wprowadzenia stanu wojennego, tak wielką manifestacją przeciwko władzy komunistycznej i brutalności milicji, 19 maja 1983
Fot. autor nieznan / Zbiory ECS

NIE

„Bijcie tak, żeby nie było śladów” – instruował oprawców ich doświadczony kolega. 19-letni Grzegorz Przymek, który wyszedł z domu z dwoma kolegami, żeby uczcić piśmienną maturę, został przez milicjantów skatowany na śmierć podobno za to, że niegrzecznie odezwał się do funkcjonariusza. Od pięciu miesięcy stan wojenny był zawieszony, a za niewiele ponad dwa miesiące władza zniesie go całkowicie.

40 lat temu, na trzy dni przed urodzinami i chwilę po maturze, zmarł Grzegorz Przymek. Dwa dni wcześniej został skatowany na komisariacie Milicji Obywatelskiej przy ulicy Jezuickiej na warszawskiej Starówce. To jest jedna z najgłośniejszych zbrodni aparatu bezpieczeństwa PRL. Bezkarność oprawcom zapewniła władza stanu wojennego.

Nauczka

Grzegorz Przymek ukończył właśnie Liceum Ogólnokształcące im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w Warszawie, znane z opozycyjnej wobec władz postawy uczniów.

W czwartkowe popołudnie, 12 maja 1983 roku, wraz z dwoma kolegami – Cezarym Filozofem i Jakubem Kotańskim – poszedł na plac Zamkowy świętować po pisemnej maturze. W pewnym momencie, dla zabawy, Grzegorz wskoczył na plecy znacznie niższemu Cezaremu. Po przejściu kilku kroków przewrócili się na chodnik. Zajściu przyglądała się załoga radiowozu i funkcjonariusze ZOMO. Zażądali od chłopaków dokumentów tożsamości. Grzegorz nie miał przy sobie dowodu osobistego. Funkcjonariusze polecili więc, aby pojechał z nimi na pobliski komisariat. Cezary nie chciał zostawić kolegi. Już kiedy wsiadali do radiowozu, Przymek kilkakrotnie oberwał pałką. Dalszy przebieg zdarzeń znany jest głównie z relacji Cezarego.

Około 17.30 maturzyści trafili na komisariat. Cezary został wylegitymowany, a drugi milicjant uderzył Przymka – „nauczę cię nosić papiery”, miał powiedzieć. Chłopak odpowiedział, że stan wojenny już nie obowiązuje i nie ma obowiązku noszenia dokumentów. Chwilę później do pomieszczenia weszło dwóch zomowców, znane są personalia tylko jednego z nich. Grzegorz ruszył w jego kierunku, gdy ten zamierzył się do pierwszego ciosu. Kolejny milicjant, który wpadł do środka poradził: „Bijcie tak, żeby nie było śladów”. Krzyki bitego Przymka słychać było na zewnątrz.

Bokiem na kozetce

Wreszcie z dowodem chłopaka przyjechał trzeci z kolegów, Jakub Kotański. Zapamiętał, że milicjanci byli wyjątkowo nerwowi. Mniej więcej w tym samym czasie funkcjonariusze wezwali karetkę. Dyspozytor usłyszał, że zatrzymany jest prawdopodobnie nie zrównoważony psychicznie.

Około godziny 18 przed komisariat zajechała karetka z dwoma sanitariuszami.

Zomowcy sugerowali, że zatrzymany jest narkomanem, ale na jego rękach nie było śladów wkłuc igły. Sanitariusz podejrzewali, że chłopak symulował chorobę psychiczną, żeby wyrwać się z komisariatu. W budynku pogotowia

MÓWĆCIE

na Hożej Przymek nie był już w stanie samodzielnie iść. Lekarz psychiatra uznał, że chłopak powinien zostać przewieziony do szpitala psychiatrycznego. Wkrótce pojawiła się matka, 43-letnia Barbara Sadowska. Widząc, że syn nie ma widocznych obrażeń zażądała, żeby odwieźć go do domu. Przed sądem Barbara zeznawała później: „Zobaczyłam Grzesia leżącego bokiem na kozetce, chronił brzuch. Kucnęłam przy nim i zaczęłam pytać, co się stało. Zobaczyłam, że jest nieprzytomny, nie odpowiadał mi, nie poznawał mnie. [...] Przełożono Grzesia na nosze. Jeszcze zobaczyłam, że z buzi wyciekała mu ślina z krwią, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, co tak naprawdę się stało i jak poważny jest stan mojego dziecka”.

Syna wam załatwimy

W domu stan Grzegorza nie poprawił się. Następnego dnia kobieta wezwała karetkę. Doktor powiedział, że chłopak został pobity, dał środki przeciwbólowe i zalecił okłady na nerki. Znajoma lekarka rozpoznała objawy krwotoku wewnętrznego. Powtórnie wezwana karetka zawiozła Przymeka do szpitala na Solcu. Tam stwierdzono poważne obrażenia wewnętrzne. Podjęto próbę operacji, jednak matka usłyszała od lekarza, że syn nie ma szans na przeżycie. 14 maja o godz. 13.15 Grzegorz Przymek zmarł.

Dwa dni później Barbara Sadowska w wywiadzie dla korespondenta amerykańskiej telewizji ABC przywołała słowa, które usłyszała w warszawskim więzieniu przy Rakowieckiej: „Was, Sadowska, nie możemy ruszyć, ale syna wam załatwimy”.

19 maja kilkadziesiąt tysięcy osób przybyło na pogrzeb Grzegorza Przymeka na Powązkach w Warszawie. To była pierwsza od czasu wprowadzenia stanu wojennego, tak wielka manifestacja przeciwko władzy komunistycznej i brutalności milicji.

Paryżanka

Barbara Sadowska urodziła się w Paryżu. Pochodziła z rodziny o tradycjach opozycyjnych. Jej ojciec należał do francuskiego ruchu oporu, zginął w czasie wojny w obozie koncentracyjnym.

Od drugiej połowy lat 60. mieszkanie Barbary Sadowskiej służyło za miejsce spotkań niezależnych artystów. Kobieta była poetką. Zadebiutowała w wieku zaledwie siedemnastu lat na łamach warszawskiego tygodnika „Nowa Kultura”. Dwa lata później wydała swój pierwszy tomik wierszy „Zerwane druty”. Pracowała w wydawnictwie Nasza Księgarnia, a także redakcji „Orientacji”. Współpracowała z Komitetem Obrony Robotników. Drukowała wiersze w prasie podziemnej, należała do Polskiego PEN Clubu i Związku Literatów Polskich.

Od drugiej połowy lat 70. Barbara Sadowska była obserwowana przez SB, sprawa operacyjnego rozpracowania miała kryptonim „Paryżanka”. W czasie stanu wojennego pomagała ukrywać się działaczowi Solidarności z Elbląga, Jerzemu Kawczyńskiemu. W marcu 1982 roku w jej mieszkaniu milicja szukała bibuły, dwa miesiące kobieta przesiedziała w areszcie. Po miesiącu znów została zatrzymana. 3 maja do siedziby Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom w klasztorze Franciszkanek na Starym Mieście wtargnęli nieznani sprawcy. Zdemolowali pomieszczenia i pobili opozycjonistów. Sadowskiej złamano palec u prawej ręki i grożono, że „coś” może spotkać jej syna.

Aparat zrehabilitowany

Wiadomość o śmierci Przymeka szybko rozeszła się po Polsce, a dzięki zagranicznym korespondentom także po

świecie. Jak wynika z ustaleń historyków, władze niemal natychmiast rozpoczęły akcję zacierania śladów i rozsyłania nieprawdziwych informacji. Gra szła o uwolnienie milicjantów od odpowiedzialności. Nadzór nad sprawą przejął zastępca prokuratora generalnego, a akcją sterowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Oskarżenia padły na sanitariuszy. Propagandowe media publiczne przedstawiały Barbarę Sadowską jako „alkoholiczkę”, a Cezarego Filozofa jako „narkomana” i „przedstawiciela środowiska marginesu społecznego”.

Matka Grzegorza Przymeka pisała do mieszkającej w Paryżu ciotki Marii Mroźkiewicz: „Staram się być mocna mimo brutalności, ordynarnej kampanii, której jestem obiektem. Bóg zabrał mi dziecko, a ja je wciąż osłaniam przed gromadą szczerów działających w majestacie prawa”.

Sanitariusze stanęli przed sądem, 16 lipca 1984 roku zostali skazani na dwa i pół roku więzienia oraz półtora. Trzy miesiące później przyznano milicjantom zaangażowanym w sprawę specjalne nagrody finansowe. W uzasadnieniu napisano: „Wyrok sądu był nie tylko moralną satysfakcją oskarżonych funkcjonariuszy MO, ale stanowił jednocześnie zadośćuczynienie dla wszystkich atakowanych w niewybredny sposób, funkcjonariuszy naszego resortu. Stanowił on swoistą rehabilitację naszego aparatu w oczach społeczeństwa”.

W wolnej już Polsce odnaleziono dokumenty MO świadczące o manipulacjach. Zachowała się notatka gen. Czesława Kiszczaka, ministra spraw wewnętrznych: „Ma być tylko jedna wersja śledztwa – sanitariusze”. Uchylono wyroki z 1984 roku, a sprawa wróciła do sądu. I tak jeszcze kilkakrotnie.

Barbara Sadowska nigdy nie pogodziła się ze śmiercią syna, cierpiała na depresję. Zmarła trzy lata później, 1 października 1986 roku, nie doczekawszy wolnej Polski. Pochowano ją obok syna.

Porażka

Po przemianach demokratycznych okoliczności śmierci wyjaśniały cztery procesy. Ostatecznie, najbardziej aktywnego oprawcę skazano 25 lat po zbrodni, rok później Sąd Najwyższy uznał argument jego obrońców, że sprawa przedawniła się kilka lat wcześniej.

Śledztwo w sprawie Przymeka prowadził również Instytut Pamięci Narodowej. Zarzuty utrudniania wyjaśnienia zgonu maturzysty w 2009 roku usłyszał były minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. Bezskutecznie, z powodu przedawnienia karalności. IPN trzy lata później umorzył postępowania przeciwko Kiszczakowi i dwudziestu innym podejrzany.

W 2010 roku Sąd Najwyższy uznał śmiertelne pobicie Grzegorza Przymeka za przedawnione i przyznał, że jest to porażka polskiego wymiaru sprawiedliwości. Europejski Trybunał Praw Człowieka we wrześniu 2013 roku orzekł, że Polska, badając sprawę Przymeka, naruszyła artykuł 2. Europejskiej Konwencji Praw Człowieka – postępowanie karne trwało zbyt długo i dlatego doszło do przedawnienia. Grzegorz Przymek został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego – Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2008).

Katarzyna Żelazek

POLECAMY

/ książkę reporterską „Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przymeka”, autorstwa Cezarego Łazarewicza (Wydawnictwo Czarne, 2016) → dostępna w bibliotece ECS
/ przejmujące świadectwo matki Grzegorza Przymeka, Video Studio Gdańsk → online: youtube
/ tomiki wierszy Barbary Sadowskiej → dostępne w bibliotece ECS
/ film „Żeby nie było śladów” w reż. Jana P. Matuszyńskiego (2021)



Znaczek poczty podziemnej z wizerunkiem Grzegorza Przymeka, 1984
Zbiory ECS



Klepsydra, o pogrzebie Grzegorza Przymeka informują przyjaciele
Fot. Leszek Biernacki / Zbiory ECS

Barbara Sadowska nie mówcie przy mnie...

*nie mówcie przy mnie
o maju
o dzieciach
o maturach
o bohaterstwie
o przyszłości*

*nie mówcie przy mnie
o obumarłym ziarnie
które wyda owoc*

*gałązka bzu
w której chowam twarz
wie lepiej
że gniazdko nasze
nie są z tego świata*

/ utwór został opublikowany w tomie wierszy Barbary Sadowskiej „Śladko być dzieckiem Boga”, wydanym nakładem Warszawskiej Niezależnej Oficyny Poetów i Malarzy, 1984

TATRY W CZERWCU

Za owce Jacek Fedorowicz poprzebierał na swoim satyrycznym rysunku esbeków. I niewiele się pomylił, pod pozorem wojskowych manewrów zamknięto dla turystów niemal całe Tatry Zachodnie. Komuniści pozwolili Janowi Pawłowi II spotkać się w odosobnieniu z Lechem Wałęsą, niedawnym jeszcze więźniem politycznym, przywódcą związku Solidarność, który oficjalnie nie istniał.

Program drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski ustalono w kwietniu 1983 roku. Na zakończenie wizyty w ojczyźnie papież miał spotkać się z Lechem Wałęsą.

Papież wymusił to spotkanie na komunistach, oni chcieli je ukryć przed społeczeństwem. Powiedział podobno, że nie przyjedzie do Polski, jak nie będzie spotkania z Wałęsą. Bo wiedział, że gdyby postępował inaczej i nie udzielał nam wyraźnego wsparcia, to Kościół by tym przegrał. Wtedy sam fakt spotkania był bardzo ważny – dziś Lech Wałęsa nie ma wątpliwości.

Szał radości

Do spotkania papieża z Wałęsą miało dojść ostatniego dnia oficjalnej części pielgrzymki, 22 czerwca 1983 roku, w krakowskiej kurii. Danuta Wałęsa wspomina, że termin i miejsce nieustannie zmieniano. Ksiądz Bronisław Fidelus pamięta, że władza w sprawie tego spotkania podjęła mediacje. „Myślę, że oni się po prostu bali [...]. Gdyby wierni zobaczyli, że Wałęsa jest w kurii, a na pewno by się pokazał, nie daj Boże w oknie, byłby szzał radości, dlatego oni to wykluczali” – mówi ks. Fidelus w nagraniu dla Archiwum Medialnego JP II.

I tak spotkanie przeniesiono na kolejny dzień, kiedy Jan Paweł II miał odbyć już prywatną, wyczekiwaną wycieczkę w Tatry. Wyczekiwaną, bo miało do niej dojść już podczas pierwszej pielgrzymki w 1979 roku. Niestety, mgła ograniczyła widoczność i helikopter musiał zawrócić.

Za cel wyprawy wybrano Dolinę Chochołowską, miejsce sentymalne, bo tam ksiądz Karol Wojtyła nieraz udawał się „na krokusy”, by witać tatrzańską wiosnę. Pod pozorem wojskowych manewrów zamknięto dla turystów niemal całe Tatry Zachodnie.

Ciupaga

Z nielicznych stałych mieszkańców pozostali jedynie rodzina Szwajnosów z Siwej Polany, kilkunastu pracowników

schroniska na Polanie Chochołowskiej i sędziwy baba Wojciech Gal z juhasami z pobliskiej baczówki.

Konspiracja była wielka. Jedynie kierowniczką schroniska na Polanie Chochołowskiej Janina Pawłowska wiedziała o przybyciu papieża. Szwajnosowie już w maju obserwowali żołnierzy kryjących się po krzakach, aż wreszcie zamontowano w ich domu radiostację. W dniu wizyty papieża, o godzinie 5 rano, Pawłowską poinformowano, że gościa będzie mogła powitać jedynie w pojedynkę. Zakazano też wywieszenia flag – państwowej i Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Bacy i jego juhasom powiedziano tylko, że przybywa ważny gość. Mieli założyć czyste ubrania, a jakby na wzór, przysłano esbeków przebranych za górali. Krewnemu bacy, Stanisławowi Krupie, skonfiskowano ciupagę, czego ten jeszcze długo nie mógł przeboleć.

Lech Wałęsa z żoną Danutą, czterema synami i biskupem gdańskim Tadeuszem Goctowskim rozpoczynali podróż na południe Polski na lotnisku w Pruszczu Gdańskim.

Podstawiony sobowtór

Wsiadali do helikoptera, będąc przekonani, że lecą do Krakowa. Podczas lądowania na tankowanie w Warszawie okazało się jednak, że zmieniono cel na Zakopane. Mimo nalegań biskupowi Goctowskiemu odmówiono kontaktu z episkopatem. Atmosfera gęstniała. W Zakopanym przed dalszą podróżą był jeszcze przystanek, wspomnienia są rozbieżne, jedni mówią o ośrodku wojskowym, inni o pensjonacie. „Ciągłe byliśmy niepewni, co się wydarzy. Mąż zaczął nawet podejrzewać, że zamiast Ojca Świętego podstawią sobowtóra” – pamięta Danuta Wałęsa.

Z Zakopanego na miejsce spotkania z papieżem goście byli wiezieni samochodem. Droga powinna być pusta, ale na trasie znalazł się góral i do tego rozpoznał przywódcę Solidarności. Natychmiast wykonał w stronę samochodu gest victorii, co wyraźnie zirytowało członka obstawy.

Niespełna godzinę po Wałęsach do schroniska na Polanie Chochołowskiej przybył Jan Paweł II, najpierw dostając się helikopterem na Siwą Polanę, po czym na miejsce tym samym samochodem co Wałęsowie. Rodzina Wałęsów czekała w tym czasie na półpiętrze. Spotkanie miało się odbyć w przygotowanym saloniku.

Wałęsie chyba odbiło

Jan Paweł II, przekroczywszy próg dobrze sobie znanego schroniska, umieścił wpis w księdze pamiątkowej. W holu czekał Lech Wałęsa, który najwyraźniej nie chciał korzystać z saloniku w obawie przed podsłuchem. Jedni twierdzą, że papież odczytał ten gest, inni, że sam zdecydował. „Proszę na górę Ojca Świętego na rozmowę z Wałęsą. Wtedy ks. Dziwisz reaguje: »nie, nie, tu, w holu«. [...] Jeden z borowców mówi: »Ojciec Święty nie uszanował Wałęsy«. A tam nie było podsłuchu!” – wspomina ten moment ks. Fidelus.

Papież nie odłożył księgi pamiątkowej na miejsce, z którego ją wziął, ale przeniósł na stolik pod oknem. Tak przysiadł, żeby porozmawiać z przywódcą Solidarności.

– Ja papieża wtedy ostatecznie przekonałem do siebie – uważa Lech Wałęsa. – Powiedziałem mu: „Ojciec Święty, my zwyciężyliśmy, oni już przegrali”. Pamiętam to dokładnie. Patrzy na mnie zdziwiony, wie przecież, jaka sytuacja jest dokładnie. Siedzimy w schronisku, w górach, ja niedawno internowany. Myśli sobie: „O czym ten Wałęsa mówi? Wałęsie chyba odbiło...”. Ale po czasie, jak to zaczęło się sprawdzać, powtarzał: „Ten Wałęsa to od początku miał rację”.

Przywódcą Solidarności ofiarował papieżowi w prezencie arkę, dzieło gdańskiego artysty Giedymina Jabłońskiego – odlaną z brązu łódź, której dziób przeistacza się w dłoń trzymającą krzyż. W wolnej Polsce do schroniska w Dolinie Chochołowskiej trafiła replika arki. Co się stało z oryginałem? Nie wiadomo.

Jednodniowy juhas

Po spotkaniu Wałęsowie bez zwłoki wsiedli do auta i odjechali. A papież ubrał turystyczne buty i ruszył na dwugodzinną wycieczkę szlakiem na Trzydniowiański Wierch. W Dolinie Jarząbczej zarządzono półgodzinny postój, były ciepłe napoje z termosu, kanapki i jabłka.

W drodze powrotnej papież przypomniał staremu bacy Wojciechowi Galowi, że w czasie jednej z jego kardynalskich wycieczek ten naprawił mu but. Oscypka i żętycy (serwatka z mleka owczego) ze względów bezpieczeństwa nie pozwolono papieżowi spróbować na miejscu, ale zezwolono zabrać do Watykanu. Gość miał też zagadnąć Gala: „Macie to jakich nowych juhasów, baco?”. Wojciech odparł: „A dyć, to taki jednodniowy juhas”, żartując z esbeków przebranych za górali.

Z baczówki Jan Paweł II powrócił do schroniska. Przed odjazdem porozmawiał jeszcze z jego pracownikami. Żegnając się, miał powiedzieć: „Ja tu jeszcze do was przyjadę w spokojniejszym czasie”. Dopiero po odlocie papieża, Janina Pawłowska miała dowiedzieć się, że gościła również w schronisku Lecha Wałęsę.

Na lotnisku Balice, na chwilę przed odlotem z Polski, Jan Paweł II powiedział: „[...] Polska jest dobrem wspólnym całego narodu. [...] takie dobro domaga się stałego i rzetelnego wysiłku całego społeczeństwa. [...] Życzę, aby [...] dobro okazało się na ziemi polskiej potężniejsze od zła i odniosło zwycięstwo”.

Niewiele ponad trzy miesiące później Norweski Komitet Noblowski przyznał Lechowi Wałęsie Pokojową Nagrodę Nobla.

Katarzyna Żelazek

WYKORZYSTANA LITERATURA

/ Bartłomiej Grzegorz Sala, „Sekrety Zakopanego”, Łódź 2017
/ „Wałęsa '80. Lech Wałęsa w rozmowie z Kamilem Dziubką i Januszem Schwertnerem”, Kraków 2023
/ „Danuta Wałęsa, Marzenia i tajemnice...”, oprac. Piotr Adamowicz, Warszawa 2011



Rysunek satyryczny, spotkanie Jana Pawła II i Lecha Wałęsy w Dolinie Chochołowskiej w 1983 roku, nagrywane przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa przebranych za owce
Autor: Jacek Fedorowicz / Zbiory ECS



Zamieszki w miesięczną rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, skrzyżowanie ulic Podwale Staromiejskie i Kowalskiej w Gdańsku, 13 marca 1983
Fot. Janusz Bałanda Rydzewski / Zbiory ECS

40 LAT TEMU ZNIESIONO STAN WOJENNY

Stan wojenny zniesiono 22 lipca 1983 roku, po niemal dwóch latach obowiązywania. Najpierw jednak go zawieszono – 1 stycznia 1983 roku, zachowując jednak część represyjnego ustawodawstwa. Internowani wrócili do domów, bo do Polski z pielgrzymką miał przybyć Jan Paweł II.

Episkopat chciał zaprosić Jana Pawła II do Polski już w 1982 roku, przygotowując jubileusz 600-lecia ufundowania klasztoru na Jasnej Górze, najważniejszego i najliczniej odwiedzanego polskiego sanktuarium. Pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego nie mogło to być jednak na rękę komunistom, którzy bali się wsparcia papieża dla opozycji.

Zawieszony

Dzień przed tym, jak Rada Państwa podjęła 19 grudnia 1982 roku decyzję o zawieszeniu stanu wojennego, Sejm przyjął ustawę „O szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego”. Nie oznaczało to więc, że życie wróciło do normy sprzed 13 grudnia. Nie tylko nie przywrócono pełni praw obywatelskich ustanowionych przez konstytucję z 1952 roku, ale ustawa pozwalała zachować część zmian prawnych ograniczających prawa obywatelskie. Udział w strajkach i nielegalnych demonstracjach miał grozić zwolnieniem z pracy. Wciąż stosowano różne metody represji, takie jak odmowę wydania paszportu czy karanie wysokimi grzywnami za drobne przewinienia.

W listopadzie 1983 roku Lech Wałęsa został wypuszczony na wolność. 23 grudnia wszystkie ośrodki internowania zostały zamknięte. Nie zwolniono jedynie siedmiu członków władz NSZZ „Solidarność”: Andrzeja Gwiazdy, Mariana Jurczyka, Jana Rulewskiego, Seweryna Jaworskiego, Karola

Modzelewskiego, Grzegorza Palki i Andrzeja Rozpłochowskiego. Aresztowano ich i przeniesiono do więzienia z zamiarem wytoczenia im procesu o próbę obalenia PRL.

Papież

Drugą podróż do Polski Jan Paweł II odbył w dniach 16–23 czerwca 1983 roku. Komuniści wysyłali światu propagandowy sygnał: sytuacja w Polsce jest stabilna. W ciągu 7 dni papież odwiedził m.in.: Warszawę, Jasną Górę, Poznań, Katowice, Wrocław i Kraków. W Belwederze, a później na Wawelu, Jan Paweł II spotkał się z premierem Wojciechem Jaruzelskim, przewodniczącym Rady Państwa Henrykiem Jabłońskim i innymi przedstawicielami władz PRL. Mówił: „I chociaż życie w ojczyźnie od 13 grudnia 1981 roku zostało poddane surowym rygorom stanu wojennego, który został zawieszony od początku bieżącego roku – to przecież nie przestaję ufać, że owa zapowiadana wielokrotnie odnowa społeczna, według zasad wypracowywanych w takim trudzie w przełomowych dniach sierpnia 1980 roku i zawarta w porozumieniach, dojdzie stopniowo do skutku”.

Ostatniego dnia wizyty w Polsce Jan Paweł II miał już poza oficjalnym programem pielgrzymki, prywatnie odwiedzić Tatrę. I dotarł do Doliny Chochołowskiej, spotykając się tam z Lechem Wałęsą, przywódcą Solidarności w podziemiu.

Zniesiony

Na ostateczne zniesienie stanu wojennego trzeba było poczekać do 22 lipca 1983 roku. Datę wybrano nieprzypadkowo. 22 lipca był corocznie największym świętem państwowym, nazywanym „urodzinami PRL”, dniem wolnym od pracy. Narodowe Święto Odrodzenia Polski komuniści ustanowili na pamiątkę rocznicy ogłoszenia Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w 1944 roku, dokumentu zatwierdzonego przez Stalina. Manifest odebrał rządowi londyńskiemu prawo do reprezentowania narodu polskiego i oddał władzę komunistom.

Co przemawiało za zniesieniem stanu wojennego? Przede wszystkim sankcje nałożone przez kraje zachodnich demokracji na Polskę Ludową, które dotkliwie odbiły się na jej gospodarce. Jego zakończenie było podstawowym warunkiem wycofania tych restrykcji.

Ogłoszono jednocześnie amnestię. Więzienia opuścili wszyscy, których wyroki nie były wyższe niż 3 lata. Więźniom politycznym, których skazano na dłuższy okres, skrócono karę o połowę. Władza nie zaprzestała jednak poszukiwań ukrywających się przywódców podziemnej Solidarności, a także nie zwolniła z aresztu opozycjonistów przetrzymywanych bez wyroków.

W mocy pozostało także wiele ze zmian prawnych wprowadzonych w czasie stanu wojennego. Były wykorzystywane aż do końca istnienia PRL, jako narzędzie represji wobec opozycji. (at)

ZAPAL ŚWIATEŁKO

TUTAJ ZGINĘLI LUDZIE W GRUDNIU '70

1 RÓG ULIC NOWE OGRODY I 3 MAJA, OBOK URZĘDU MIEJSKIEGO

W tym miejscu 15 grudnia 1970 roku został zabity

JÓZEF WIDERLIK

lat 24, stolarz okrętowy z Wydziału W5 Stoczni Gdańskiej im. Lenina

2 UL. HUCISKO, WIADUKT NAD TORAMI KOLEJOWYMI, PO STRONIE SĄDU

W tym miejscu 15 grudnia 1970 roku został zabity

BOGDAN SYPKA

lat 20, student Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie na Wydziale Zootechniki

3 UL. GARNCARSKA 29

W tym miejscu 15 grudnia 1970 roku został zabity

KAZIMIERZ ZASTAWNY

lat 24, ślusarz w Fabryce Urządzeń Okrętowych Techmet w Pruszczu Gdańskim

4 UL. PODWALE GRODZKIE 4, OBOK HOTELU, PO STRONIE DWORCA PKP

W tym miejscu 15 grudnia 1970 roku został zabity

WALDEMAR REBININ

lat 26, kierowca w Wojewódzkiej Kolumnie Transportu Sanitarnego w Gdańsku

5 NIEOPODAL POMNIKA KINDERTRANSPORTÓW

W tym miejscu 15 grudnia 1970 roku został zabity

KAZIMIERZ STOJECKI

lat 58, robotnik transportu z Wydziału T2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina

6 POMIĘDZY BUDYNKAMI DWORCA PKP A ZIELENIAKIEM

W tym miejscu 15 grudnia 1970 roku został zabity

ANDRZEJ PERZYŃSKI

lat 19, malarz konserwator w Stoczni Gdańskiej im. Lenina

7 OBOK STOCZNIOWEJ BRAMY NR 2

W tym miejscu 16 grudnia 1970 roku zostali zabici

JERZY MATELSKI

lat 27, dźwigowy w Stoczni Gdańskiej im. Lenina

STEFAN MOSIEWICZ

lat 22, malarz z Wydziału W1 Stoczni Gdańskiej im. Lenina



Fot. Grzegorz Mehring / Archiwum ECS



inicjator upamiętnienia | Stowarzyszenie „Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców 1970 w Gdańsku”
partner projektu | miasto Gdańsk
autorka tablic | Lucyna Kujawa

ORGANIZATORZY WYDARZEŃ JUBILEUSZOWYCH



GDAŃSK PAMIĘTA

WYDAWCA
Europejskie Centrum Solidarności
pl. Solidarności 1 | 80-863 Gdańsk
tel.: 58 772 40 00 | e-mail: ecs@ecs.gda.pl
ecs.gda.pl

redaktorka prowadząca | Katarzyna Żelazek

zespół realizacyjny | Joanna Czuderna-Szreter, Magdalena Mistat,
Przemysław Ruchlewski

wyбір eksponatów, grafik, zdjęć i obróbka zdjęć archiwalnych | Ewa Konkel,
Łukasz Kordowski, Iwona Kwiatkowska, Karolina Lejczak-Pastuszka

korekta | Izabela Zin

projekt graficzny i skład | Emilia Miklikowska

Druk bezpłatny

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby ustalić autorów wszystkich wykorzystanych zdjęć i innych pamiątek historycznych. Jeśli zidentyfikują Państwo obiekt opisany jako „autor nieznan”, prosimy o kontakt z ECS | e-mail: ecs@ecs.gda.pl